

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Andrzej K. Waśkiewicz

Horyzont zdarzeń
Cztery poematy

Posłowiem opatrzył:
Leszek Żuliński

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Mirbad, 7

*

tam w kraju gdzie toczy się wojna
wśród poetów w drelichach żołnierzy dzieci
śpiewnie recytujących urzędowe hasła
trzymających wysoko uniesione w ręce
urzędowe portrety dzieci w strojach szkolnych
dzieci w mundurach kobiet o szerniałych twarzach
starych mężczyzn w mundurach z automatami w dłoni
rewidowany przy wejściu na salę gdzie poeci czytać będą wiersze
(ciebie też wywołano ale byłeś gdzie indziej)
ściskający dłonie umundurowanych mężczyzn
przybysz z małego kraju nad małym zimnym morzem
z misją którą przyjąłeś bo tak wypadało
poczułeś się nierzeczywisty
widziałeś
jeszcze żyjących ale już skazanych
w barwnych reklamach czytałeś inskrypcje
półzarte słuchałeś
wierszy z których pozostały
luźne fragmenty nie do powiązania
w sensowną całość
miasto
przesypywał piach odsłaniał
drobne szerniałe kości
to co rzeczywiste
było poza
porządkiem zdarzeń
jak przepaść która
po prostu jest – i nawet nie wzywa

zostałeś
wysłany by potwierdzić zaproszony
by potwierdzić twoje racje
nie liczą się w tych wymiarach

*

— — — twoje miasto
dogasa w łunach pokrywa się czarną
sadzą płonących ciał szarym
pyłem płonących księzek dławi się w kanałach
w kale i we krwi

co przemilczał płomień
co grom powiedział

o co należało
spytać by znać konieczność nieubłaganą
konieczność zwyczajną
konieczność o co spytasz
ojca (którego nie pamiętasz) płomień
w murach politechniki kolumny
na pruszkowskiej szosie czekających
na milczącym brzegu o co spytasz
próbujących się urządzić przeżyć zwyczajnie
przeżyć

twoje miasto
stolica byłego państwa
o co spytasz
swoje ciało które wyniosłeś z pożaru płomień
co je przepala

i co grom powiedział
co przemilczał w rachunku zysków i strat
by potwierdzić
nieubłaganą konieczność

szary
płomień bólu

*

to w twoim imieniu
mordowano mieszkańców numancji kartagine
równano z ziemią to ty
płonąłś na wszystkich stosach podpalałeś
stosy ty tłumileś
światło i ty je zapalałeś przeżyłeś
więc jesteś winny czy potrafisz
unieść ten ciężar chciałbyś zrozumieć
wpierw nim osądzisz to ty
umierałeś w kampuczy w dallas i na wzgórzu
czaszki wołałeś
uwolnić barabasza ty przebiłeś
bok umarłego na krzyżu by sprawdzić
czy już się dokonało chciałbyś
zrozumieć wciąż
umierasz w syberyjskich śniegach
na stadionach w tajnych
fabrykach broni w miejscach
których nie ma na mapie przeżyłeś
więc jesteś winny chciałbyś
zrozumieć nim osądzisz

*

rzeka tygrys przepływa pod oknem hotelu
powolny nurt mętne fale ta woda
już oczyszczona w litrowych plastikowych butelkach
stoi na stołach zestawionych w prostokąt
rzeka tygrys przepływa pod oknem hotelu
rzeka tygrys przepływa przez pamięć teraz
także przez twoje ciało rzeka tygrys
gdy na nią patrzysz z okna niezbyt się różni od wisły
rzeka tygrys nie zdaje ci się rzeczywistą
jest bardziej mitem niż rzeką skąd pochodzi woda
którą wlewasz do szklanki z plastikowej butelki

*

na chodniku uschnięte daktyle martwy rozdeptany szczur
żywego widziałeś na hotelowych dziedzińcu
– rankiem pomyliłeś drogę szukając restauracji gdzie przyjmowano
festiwalowe bloczki
dziedziniec był pusty szedł wolno pod ścianą
spojrzał na ciebie jakby chciał się zaprzyjaźnić
ale po chwili odszedł

*

przypadkiem ocalony wciąż idziesz w kolumnie
kobiet i dzieci w słońcu października
w łunach dogasa miasto już otwarte

komu zawdzięczasz to co cenisz mało
śmierć nie zagraża tym którzy umarli
żyjesz na kredyt

nic z tego co posiadasz nie jest warte trwania
nawet ból nawet rozpacz co da się wyrazić
tylko uśmiechem bezruch
jak najważniejszą figurą tańca
przemilczenie
jest częścią mowy

*

autokarami na wschód rankiem w twym pokoju
obok drzwi złożony mundur ktoś przyniósł go nocą
gdy spałeś zielony połowy mundur z pasem
z nylonowej plecionki

przez równinę
płaską jak stół przez pagórki
ze śladami erozji jak ślady pocisków
stada kóz przy posterunkach działka wymierzone w niebo
autokar jest klimatyzowany zasypiasz po chwili
budzisz się znów posterunki kawalkada
autokarów na wschód

*

przez szosę obok wojskowego posterunku przechodzą
dzieci wracające ze szkoły niosą
książki i zeszyty dzieci wracające ze szkoły żołnierze
stojący na posterunku

*

obiad w przyfrontowej jednostce na stole
misy z jedzeniem gdy poeci
nasycawszy się odeszli wtedy
weszli żołnierze
jedli co po nich zostało

*

czerwona chusta płomień
czerwonych krawatów (czytałeś tę książkę
ale nic nie pamiętasz) płomień
na spłowiałej koszuli (masz ją jeszcze
z wyprutym
emblematem) płomień
trawiący legitymację (opłaciłeś składki
tyle pamiętasz) płomień
trawiący twoje miasto (ojca nie pamiętasz
pewnie strawił go płomień ale wiesz
jak to tłumaczyć) płomień
trawiący publiczne gmachy w białych płatkach śniegu
krótki błysk u wylotu automatów płomień
bólu

płomień
niewidoczny w środku dnia gdy poeci
na pustynnym poligonie strzelają do tarczy
po obiedzie w drodze powrotnej z przyfrontowych garnizonów

*

dwa ogromne portrety obok pustego stołu
patrzą na salę
za chwilę przemówią
ustami poetów którzy przyjechali
z krajów mówiących wiersze tym samym językiem

*

w zapadającym zmierzchu głos muezzina
przedziera się przez szum aut jest – jak one – z taśmy
sterylnie czysty powtarzalny z serii
wraki aut rdzewieją na obrzeżach szos
głos przedziera się przez ryk klaksonów widziałeś
obok muru co oddziela hotel od ulicy
w południe mężczyzna
rozłożył mały dywanik twarzą zwrócony do mekki
modlił się bił pokłony
wraki
aut rdzewieją na obrzeżach szos

*

miasto jest rzeczywiste to jedynie ty
przypadkowy przechodzień z przypadkową misją
ocalały przypadkiem sam sobie
zdajesz się być nierzeczywisty

*

wraki aut rdzewieją na obrzeżach szos
miasto odgrzebane spod piasku
szklana kula przemieszcza się wraz z tobą

*

tamtej zimy
strzępy ulotek gaz w podziemnych przejściach
zamazane napisy wrak autobusu
przysypany śniegiem dzieci
zjeżdżające sankami ze sztucznych pagórków
jakby nic się nie stało
w kopnym śniegu
grzęzły auta
w twojej spokojnej dzielnicy
patrole pojawiały się rzadko
nic tu się nie działo
może to że w południe o dwa domy dalej
stał pancerny scot
poetka krystyna
wracała ze szpitala

*

nocą szczekają psy ich głos
w tym luksusowym hotelu wznoszącym się wysoko
ponad wierzchołki palm brzmi jak
z innego świata rankiem
widzisz je: wychudzone leżące na trawnikach
patrzą na ciebie nieufnie
nie warczą gdy podchodzisz
kulą ogon
umykają truchtem

*
(piosenka)

otwarty do nagiego mięsa
krwawiący snami idąc śpiewasz
cały na zewnątrz – tak spokojny
jak uśmiech zdjęty z ust umarłej

a śpiew zatracą się w powietrzu
i na nieboskłon wschodzą gwiazdy
tworzące obce gwiazdozbiory
twoja samotność nimi krwawi

na dnie powietrza tonie głos
twój głos twój śpiew niewyspiewany
nadzieje dawno porzucone
szanse już prawie zapomniane

na dnie powietrza utopiony
leżysz i tylko ponad tobą
twoją krwią krwawią obce gwiazdy
i ciebie snem twym śnią

*

to co usłyszysz znasz już wcześniej i
masz gotową odpowiedź

długo

trenowałaś tę umiejętność

spokój drwinę

co rodzi się z rozpaczy

a to

znaczy zamknięcie

jakbyś był

gdzie indziej

i kto inny

cierpiał za ciebie

doświadczał

twoje nieszczęścia

twój ból twoją

śmieszność twoją

obawę

jakbyś wyprzedzał

siebie

i doświadczał

tego innego

a to znaczy

nie był

*

w holu obok stoiska gdzie wiszą angielskie garnitury
w witrynie gdzie na ceny nie chcesz nawet patrzeć
w szklanej kuli pływają małe gupiki
pośród roślin z plastiku powietrze im tłoczy
ukryta pompka
są tak wypłowiałe
jakby wstydziły się siebie

*

ci którzy śnią może nie zbudzą się jutro
ci którzy stoją na warcie może nie zbudzą się jutro
pociąg jedzie na południe
i wciąż jedna twarz powielona odbita w tysięcznych wariantach
czuwa nad tobą

*

to pamiętasz najwcześniej: długi szereg domów
wypalonych i zapach – nie wiesz czy naprawdę
to pamiętasz – słodkawy mdlący chyba
trawa już rosła na gruzach i w innym
mieście gdzie mieszkałeś obfitość
raków w kanałach maski gazowe w których
krztusząc się oddychałeś

wraki aut rdzewieją na obrzeżach szos

*

wielkie ryby z tygrysu pływają w kamiennych basenach
na dziedzińcu restauracji w której odbędzie się bankiet
możesz wskazać
którą należy zabić

*

przez szczelinę
betonowego bunkra widać
żółtą pustynię kamieniste pagórki
kryjące pola minowe zasieki a także
posterunki po drugiej stronie
dopiero na mapie
mógłbyś zobaczyć granicę
to wszystko
moknie we wspólnym deszczu

*

nigdy nie czuleś się pewny jakbyś szedł
ciągle pruszkowską szosą i doszedł
dokąd was prowadzono i tam rozdzielony
nie ocalałeś albo
ocalałeś i nie wiesz kim jesteś idziesz
albo jesteś niesiony (matka
już umarła) masz
trzy lata (już umarłeś) sprawdź
czy w oczy świeci ci słońce zastrzelony
w ucieczce lub po to by sprawdzić
celność oka leżysz
na skraju szosy twoją pamięć
dano ci w podarunku czy naprawdę
pamiętasz to słońce i milczący brzeg
po drugiej stronie rzeki czy naprawdę
płaczesz na tej szosie i twój płacz
brzmi we wszystkich miastach gdzie mieszkałeś
zabity
na skraju szosy
szukasz
swej matki w pruszkowskich barakach
jakbyś
chciał sprawdzić czy naprawdę jesteś

*

nad granicą tuż obok milczących
linii ognia
poeci
czytają wiersze w transzejach
wśród
żołnierzy moknących w deszczu
wiersze
których nie poznasz a jeżeli poznasz
będą to inne wiersze niż te których słuchali
żołnierze moknący w tym samym co ty deszczu

*

ponad
żółtymi pagórkami pod którymi czujnie
śpi ukryta śmierć płyną
obłoki przekraczają
umowną granicę ten lot
śledzą oczy żołnierzy
lecz nic nie mogą im zrobić

*

— — — sen
skrwawiony jak cywilizacje co zapadły w piasek
aby wyjść oczyszczone wynurzyć się z piasku
i zapaść w piasek co śni
kamienna rzeźba czego strzegą
kamiennie drzwi co oświetla
lampka oliwna skryte przejścia
jawy i snu stary sen
już prawie zapomniany zatarty palimpsest
czego strzeże ten sen inskrypcja
której nie potrafisz odczytać jest wydęta
w twoim ciele

*

wówczas
w grudniowy ranek gdy radio
nadawało komunikaty i muzykę poważną
w twojej dzielnicy
dzieci
zjeżdżały sankami ze sztucznych pagórków
poczułeś się wyzwolony nie
nie musiałeś robić twoje ciało
pracowało za ciebie pewne
że jest
jak państwo
które
podjęło za ciebie decyzję

*

śniłeś ale nic nie pamiętasz sen kruszył się spadałeś
w nieskończoną otchłań szczytującą w ciemność
chciałeś przywołać sen odbić się w nim stanąć
na jego ruchomych piaskach ale niebo było
z ołowiu i stałeś nagi w tym widmowym świetle
otwarty jakbyś był jedną wielką raną
cały na zewnątrz tak ogromnie samotny
jak bezludna planeta

wciąż nie wiesz czy to

ty śniłeś
czy to
śniło ciebie
czy może
byliście śnieni razem ty i ta ogromna
samotność
której
nie umiałeś sprostać

*

1

cokolwiek się zdarzy
tęcza na burzy jest twoją widziałeś
tę bramę wysoko wzniesioną
ponad żółtą równiną czy jesteś
zdolny zawierzyć jej przejść
przez ten płomień który spopielając
rozpoczyna na nowo

wznosiła się wysoko jakby drwiła
z twych spraw i jakby
chciała je unieważnić

obnażony płomień
tym świetlistszy im szczelniej zamyka
ciemność w swym wnętrzu
splątane korzenie
czystego głosu

tęcza na burzy

*

kamyk
brązowy gładki obtoczony
z białą pręgą pośrodku
jakby był gotowy
otworzyć się i przyjąć cię do wnętrza
lśnił
kroplami rosy
ogrzałeś go w dłoni
ciepło twojego ciała wnikało do wnętrza kamienia
ciepło twojego ciała rozpraszало się w drobnym deszczu
na pustynnym poligonie nad którym
trwała
tęcza na burzy

*

pod kopułą z kryształu zewnątrz wyzłoconą
wśród srebra błyszczącego od dotyków dłoni
w kącie wśród książek stary człowiek z brodą
tłumaczył coś cierpliwie paciorki różańca
przesuwały się chrzęszcząc spokój
stos książek przechodziłeś obok obcy
spokój gruby dywan tłumi kroki buty na zewnątrz w koszykach
światło drżało w kryształach kopuła
wznosiła się jak gdyby dźwigało ją w górę
twoje spojrzenie obcy
spokój twoje pragnienia twój ból twoje
przyzwyczajenia twoja
samotność tak ogromna że zdolna powstrzymać
drżenie światła w kryształach lot ku górze
tej świetlistej kopuły i wtedy
pamiętasz
było – nie – było
dłoni w twojej dłoni ująłeś
świat nagle jakbyś
poczuł się wewnątrz w łonie
tej świetlistej przestrzeni która tylko trwała
nie wznosiła się już ani opadała
nie – była i ty
nie – będąc – trwałeś
jak gdyby to światło
pożerało cię
wolny
zjednoczony
już bez granic
w tym świetle
implodującym w tobie już przez nie pożartym
jednoczesny i
obcy
dłoni
opadła poczułeś
wilgoć potu na palcach
powietrze
chrzęszczące w płucach
kobiety w abajach
ściskały w dłoniach srebrne kraty
całowały
srebrne kraty

*

musiałeś to zobaczyć skoro wiesz że było
: słońce ze szczytu spiralnego minaretu
bałeś się spojrzeć na dół zbliżyć się do krańców
platformy czy to słońce szło ku zachodowi
ogromne jasne i czy poraziło ci oczy szlście
tuż przy murze o krok od przepaści
nie osłoniętej niczym ściana
z żółtej cegły wznosiła się tuż przy twarzy widziałeś
tylko tę ścianę biegnącą ku słońcu
i wyżłobione na ceglach napisy
w alfabetach których nie potrafisz odczytać
słońce
zobaczyłeś dopiero na górze
wcześniej ze schodów na platformę kwadrat jasnego powietrza
to słońce i wypalona ziemia w dole
oboje
obcy
oboje
tak rzeczywiści
w zjednoczeniu które raczej potrafisz pomyśleć niż doznać
trwali
jak wyzwanie

*

co w piach zapadło piach odsłoni twarz
do której nie da się przykleić żadnego imienia
barwne reklamy kinowe stosy
zwiezionych zewsząd towarów gmachy
wzniesione po to by budziły podziw zmiele
kości na drobne kamyki na pył który
przewieje wiatr piasek
który wciskał ci się do ust gdy jadłeś
na pustyni za hatrą obiad z pojemnika
ustawionego na masce rządowego mercedesa

*

w pociągu specjalnym nocą jadącym do przyfrontowego miasta
w otwartych przedziałach widziałeś: ci ludzie
piszą wiersze czytają wiersze poprawiają
wiersze w stukot kół wdziera się szelest papieru
gwar nie cichnie wiersze tysiące wierszy
w pociągu nocą jadącym do przyfrontowego miasta

*

ze szpaleru
wiwatujących dzieci wybiega
mała dziewczynka uśmiecha się już
nie skanduje szpaler się rozsypał
podbiega do pani barbary całuje ją za nią
biegną inne idziemy szybko za nami
szpaler formuje się na nowo

*

na portretach farba łuszczy się spada drobnymi płatami
twarz w półśmiechu zmienne rekwizyty
coraz to bardziej – widzisz – rysy uproszczone
im więcej twarzy

 w twoim mieście zimą
strzępy ulotek w brudnym śniegu depcą
nogi przechodniów na krzyż przekreślone
litery proklamacji

*

człowiek na koniu (jedyne jakiego tu widziałeś) stał
w pustej perspektywie ulicy patrzącej
na tę którą jechały autokary
dzieci wznosiły w górę portrety krzyczały
ale przez szybę widziałeś tylko otwierające się usta

*

dlaczego zimą
siedemdziesiątego roku przypiąłeś
do dżinsowej bluzy zetempowski znaczek
czy naprawdę
wiesz co chciałeś przez to powiedzieć

*

w powietrzu rozświetlonym stado szpaków krzyczy
krążą wysoko kołują nad miastem
nadrzeczny bulwar kwitną oleandry
drobne zimowe kwiaty skazane na śmierć
niejasna wiedza o ukrytych przejściach
zbiegach okoliczności sen powtarza jawę
jawa śni sen ale lustra krwawią
w mętnej wodzie tygrysu odbija się niebo
pełne ptaków ich głos – jeśli krzyczą –
jest zbyt daleki aby mógł tu dobiec

w powietrzu rozświetlonym jak tylko być może
spojrzenie jeśli domysł spełni się w domyśle
stado ptaków kołuje odbija się w wodzie
nie opada i trwają tak bo czas jest kolisty
odgłos kroków nie cichnie spojrzenie powraca
zastyga – trwając – w płynnym szkle powietrza

*

obiad na werandzie w mosulskim uniwersyteckim centrum
już po przemówieniach po szpalerach dzieci
po powitaniach ale jeszcze
przed kolejną turą recytacji
słońce grzało mocno
– można się opalić –
powiedział pan adnan
i odszedł obok
siedziała pani barbara
mały żółty kot
podszedł do was
zamiauczał
rzuciłeś mu ryż
podchodził
zachowując bezpieczną odległość
karmiliście go ryżem i mięsem
stopniowo
zmniejszał dystans ucieczki
nasyciwszy się odszedł

*

w tym nagłym rozłśnieniu
spojrzeniu krótkim na moment nim głos
dotrze do ciebie z tak bliska że mógłbyś
dotknąć – lękasz się uczynić ten gest
w chwili co trwa tak jakby była
z innego czasu i trwała koliście
nic nie uczynisz

 wpatrzony w ten błysk
porozumienia

 jakby się zatracił
ekspłodując do wewnątrz twój świat

popatrz: kropla potu sływa ku wargom zaraz się rozproszy
w tężającym płynnym szkle powietrza

*

stary mężczyzna z automatem w dłoni
na nasypie z działkiem wycelowanym w jezioro
obserwował przejeżdżające mostem autokary
zapadał zmierzch
zasypiałeś
siedzący przed tobą poeta recytował wiersz
do reporterskiego magnetofonu

*

lękasz się spojrzeć w dół w twych płucach powietrze
przesypuje się chrzęszcząc chcesz
zahamować kaszel jak wtedy gdy gaz
wpływał w podziemne przejście
szedłeś na podwale
tłum się przeredzał słyszałeś tylko
pojedyncze okrzyki
a potem ciszę
pod stopami
brudny mokry śnieg

*

nie potrafiłeś wzbudzić w sobie żalu
co najwyżej gniew
że tak się właśnie skończyło
w zgliszczach i skomleniu
wówczas
też byłeś obcy we wrzawie
odzyskiwanych wiar chroniłeś
swą nietożsamość w nieustannym zdziwieniu
że ten nierzeczywisty kraj
wciąż istnieje

*

poeta pod którego pomnikiem złożyłeś wieniec (ręce lepkie od daktyli)
umarł młodo w szpitalu po długiej chorobie
jego wiersz o deszczu przeczytałeś później
wtedy stałeś
patrzac na worki z piaskiem na statki handlowe
widziałeś rdzę na burcie kobietę z misą
pełną daktyli szpaler dzieci skandujących urzędowe hasła
dzieci w mundurkach ściskające w rękach
książki zeszyty wznoszące portrety
deszcz zielonych gałązek
te szpalery ciągną się od dworca
przeciskasz się przez nie obciążając drelich
widzisz je z okien autokaru w mieście
przy workach z piaskiem uprzątanych gruzach
ściętych wierzchołkach palm
spocony mężczyzna w burym garniturze
trzyma mikrofon w ręku
nagrywa to co widzisz za chwilę podbiegnie
wyciągnie z tłumu poetę nagra wiersz
zapewne też o tym samym
idziesz w pierwszym szeregu za wami terkocą
kamery coraz szybciej deptac żółte błoto
nie wiedzac gdzie – idziesz
wezwany
składasz wieniec plastikowych kwiatów
przed pomnikiem poety
który
– teraz to wiesz –
był prawdziwy

*

rdza przeżera
wraki aut
porzucone
na obrzeżach szos
słona wilgoć
przeżera worki z piaskiem
łza
toczy się wolno po twarzy
słońce
świeci wysoko
na murach
milczą
szczyby po pociskach

*

jest dziewięćdziesiąt dziewięć imion boga ale tylko jedna twarz
cmentarzysko wagonów starych lokomotyw
przerdzewiałych cystern
zacięte surowe twarze kobiet kazimiji
spokojne syte twarze mieszkańców hotelu
setki wierszy z których wyławiasz słowa – hasła
wciąż w szklanej kuli

*

— — — nim wybuchnie
natarczywa zieleń przetworzy
ciała na liście i owoce kwiaty
zakwitające pospiesznie nim to wszystko
pogrzebie piasek i miasto
(pogrzebane pod piaskiem) śnić będzie
swoich umarłych śniących o mieście umarłym
nie wiedzących że zmarli
zabici śnią dalej
zetlałe mundury rdzę i złom żelazny
ogień i zgliszcza
zanim przyjdzie śmierć
z nieba z którego patrzą obojętne gwiazdy

*

pod obcym niebem w tłumie obcych ludzi
sam na sam z sobą jak wobec żywiołu
nagle uświadomiłeś się sobie jako
ty właśnie

a to było

jakbyś poczuł się nagle sam
bez pomocy żadnej z tych rzeczy które
utrzymywały cię na powierzchni i zaczęłeś tonąć
w swej samotności

już bez granic

jakbyś był tylko czystą świadomością
odłączoną od ciała byłeś
równocześnie i nie potrafiłeś tego nazwać
słowa odłączały się od swych sensów trwały
jako czysty dźwięk

nie potrafiłeś

wyobrazić się sobie w żadnej z ról
które dotąd pełniłeś nagle
nie potrafiłeś sobie pomóc

w bezsennej jawie

pozbawiony granic które utrzymywały cię w całości
śniłeś się sobie

ale równocześnie

nie – będąc – byłeś sprawowałeś kontrolę
nad swoim ciałem mową potrafiłeś wykonać
to co ty – on wykonać powinien lecz to właśnie
wydało ci się pozbawione sensu
odległe od twych spraw których nie potrafiłeś nazwać

*

basra wieczór za chwilę zapadnie
zmrok twarz na portrecie ciemnieje mężczyźni w mundurach
powstrzymują szturm na salę w której poeci czytać będą wiersze
zagubiłeś się przeciskasz się przez tłum szpaler się otwiera
przepuszcza ciebie i panią barbarę
(pan bohdan wszedł już wcześniej)
szpaler się zamknął dzieci wracały ze szkoły
w ręku zeszyty i książki odepchnięte
nikną w tłumie

potem

gdy z parnej sali wyszedłeś na chłodny korytarz
widziałeś je wciąż stały w sali
poeci czytali wiersze wiersze wiersze
tłum skandował i z tłumu wyskoczył
człowiek z karteczką w ręku
wyrecytował hasła skandowanie tłumu
taniec zespołu kurdów
skandowanie dym papierosów wznosi się pod sufit
jest gorąco i parno wiersze i okrzyki
hasła i wiersze w tyle sali tańczy
kurdyjski zespół

na placu przed gmachem

tłum się przeredza mężczyźni w mundurach
pilnują wejścia sala jest zielona
od drelichów twój drelich wygniótł się w pociągu
podciągasz pas

śpiwny recytatyw

umilkł i znów okrzyki zapewne
znów tańczy zespół

mrok już zapadł

plac jest już prawie pusty tylko warta
stoi przed wejściem

i znów wiersze wiersze

obok trybuny portret kolejny poeta
człowiek z karteczką człowiek bez karteczki
patrzysz na salę jakbyś chciał przewidzieć
skąd rozlegnie się okrzyk przerwie recytację
wierszem hasłem w dialekcie sala zaskanduje
zespół zatańczy poeta podejmie
przerwaną recytację

na korytarzu jest chłodno

na sali gorąco
za oknem ciemno

*

po to byś się tu znalazł trzeba było
jednej śmierci jednej zmiany decyzji personalnej
na wojewódzkim szczeblu z powodu
tzw. utraty zaufania niesubordynacji sprawdzonych towarzyszy
twojego sprzeciwu wobec decyzji którą podjęto za ciebie
głosów które padły za tobą (dlatego jak sądzisz
że z niczym szczególnym nie kojarzono twego nazwiska) ponadto
pewnej normy życia społecznego którą respektuje twoja organizacja
sprzeciwu paru ludzi wobec funkcji które dla nich przewidziano
twojej zgody na nią bo nie było innej możliwości
w powstałej sytuacji zapewne także tysiąca innych zbiegów okoliczności
o których nie chcesz wiedzieć

*

sam na sam z sobą nietożsamy
ty – on wykonujący posłusznie
nakazane czynności nieprawdopodobnie
obcy nie – ty

*

to co potencjalne jest więcej jest
szansą niespełnień więc także – nadziei
jak gdybyś nagle ujrzał się – osobno
na przykład – na ogromnej tafli oceanu
na przykład – wobec błękitnego nieba
zielonej łąki której brzegi zwija
widnokres

wyobraź sobie – na przykład – że idziesz
wewnątrz łąki tak ogromnej jak kula powietrza
dokoła globu – na przykład – wewnątrz
rosy lśniącej na róży i że się otwiera
ta róża i pochłania cię i już nie pamiętasz
żadnego z zobowiązań

*

puste przestrzenie pamięci dziury
w zdarzeniach epizody
układają się w sekwencje inne niż pamiętasz
jakby chciały tłumaczyć to co zapomniałeś
kiedy szliście bulwarem gdzie
widziałeś lot szpaków czy to były szpaki
gdzie ogrodników ścinających róże
jakie róże a kwiaty
oleandrów czy były drobne co mówiłeś
na bankiecie kiedy to się stało
pamiętasz każdy szczegół mógłbyś odtworzyć
sytuację zapomniałeś tylko
nazwę dnia czy naprawdę
widziałeś miejsce gdzie eufrat łączy się z tygrysem
czy tylko powinieneś wiedzieć czy
mówiłeś to co mówiłeś śniłeś
to co sądzisz że śniłeś dziury
wirowy ruch pamięci sekwencje
którym nie dajesz wiary

*

cały na zewnątrz – jak ogromna maź
na brzegu oceanu – gdy na nią spogląda
płonące oko słońca

niezdolny ukryć niczego przed sobą
jak bezgraniczna rana – która się otwiera
i nie widzisz jej krańców
realny pracujący nieustannie jak ocean
zdolny zamknąć go w dłoni! wiedziałeś
wszystko twym wnętrzem!

maź na brzegu oceanu który przez nią przepływał
rana w tym oceanie i on w ranie
którą byłeś

*

zacięte twarze kobiet kazimiji
żołnierz twarzą do ziemi zawodzący modły
srebrne kraty do połysku wytarte wargami
odpowiedź na przypadkowe pytanie
– co to jest? – nie wiem lepiej nie wiedzieć

*

dzieci w panterkach z portretami w dłoni
kobiety w abajach żołnierze
z automatami wycelowanymi w ziemię
beduini w płaszczach z surowej wełny
nauczycielki pilnujące dzieci żołnierze
pilnujący porządku porządek
jest ważną rzeczą w kraju gdzie toczy się wojna

*

hotel otwarty po to byście mogli
umyć ręce zjeść obiad uczestniczyć
w otwarciu wystawy obrazów (pejzaże
portrety) poczujesz się jakbyś
był w swoim kraju nad małym zimnym morzem

*

to co ukryte będzie odsłonięte
ujawni skryte przejścia
tajone przyczyny
będą pnieć się w świetle ujawnią
koszty każdej śmierci wpiszą
w bilans zysków i strat
to co ukryte będzie odsłonięte
przeliczone
w wymiernej walucie śmierci
śmierć
wyceniona według aktualnego kursu
zweryfikuje oficjalne wersje życiorysów
tych co stali na czele

zanim wszystko
przysypie piasek

*

max schwartz poeta recytujący swe wiersze
– donosi „the baghdad observer” – na festiwalach
francji szwajcarii tudzież jugosławii
(tam go poznał pan bohdan)
w mosulu w uniwersyteckiej auli
przeklina pieniądz każe się zjednoczyć
białym czarnym i żółtym
wali
pięścią w trybunę
tylko przez pomyłkę
nie wspomniał o innych barwach
poeta max schwartz
udziela wywiadu poeta max schwartz
jest zawodowym uczestnikiem poetyckich festiwali
poeta max schwartz
jest obywatelem potężnego mocarstwa chciałby
– jeśli się go zaprosi i pokryje koszty – przyjechać także do polski myślisz

jakie to prawdy o twoim małym kraju
objawiłby max schwartz poeta wolnego świata

*

w gablocie
– obok potłuczonych talerzy przestrzelonych mis
rozerwanych pocisków ściany z dyplomami
poświęconymi pamięci tych którzy zginęli –
starannie wyprana sukienka z dziurą
chyba w okolicy brzucha swej nieżyjącej
właścicielki małej
dziewczynki która
patrzy na ciebie ze zdjęcia w tej samej gablocie

*
(litania)

ziemio z potopu ocalona
otwarta gwiazdo naga rano
cierniu drążący ciało tkliwie

i wędrująca poprzez błękit
nadziejo niegdyś porzucona
cierniu tak tkliwy wewnątrz ciała

matko bolesna która rodzisz
nie lżę a głownię co spopiela
cierniu tak tkliwy w głębi ciała

jaskinio w kredzie uczyniona
arko przymierza z naszych kości
cierniu miłośnie wbity w ciało

nad tobą sierp księżycy krwawi
wąski jak nóż co przetnie gardło
cierniu miłośnie wbity w ciało
glebo pragnąca skało płona
piasku kość naszą szlifujący
cierniu tak tkliwy w głębi ciała

ty utopiona w oceanie
głuchej przestrzeni ty samotna
cierniu tak tkliwy wewnątrz ciała

chroń nas pragnących i samotnych
nas przez nas samych opuszczonych
cierniu drążący ciało tkliwie

*

z upadków z ran z ciemnego świecenia
głodów i zaspokojień
 czysty pojedynczy
głos jak z kryształu gdzie go usłyszałeś
co ci powiedział ten głos dlaczego
wyparłeś się go dlaczego
skłonny byłeś przypuszczać że kłamie dlaczego
nie poszedłeś za nim choć wiedziałeś
że jest ostateczną szansą
 z upadków
unużany we krwi z niespełnień
z wiarołomstwa umysłu zdrań
ciała głos
pojedynczy wznosił się
słyszałeś
lecz posłusznie
wykonywałeś zwykłe czynności
nie wierząc
że jest możliwe zmartwychwstanie głos
trwał w powietrzu oddychałeś
tym głosem
nie wiedziałeś
że to ty jesteś jego źródłem
wykrwawiony brocząc tym głosem
byłeś
umarły
w swoim ciele ślepym
ogłuchłym na wszystko co cię otaczało
jedynie wnętrzem – trwałeś

*

jeszcze możesz zaprzeczyć doświadczenie
nazwać konstrukcją umysłu albo
na przykład wierszem

*

miasto
odgrzebane z piasku piasek
na ulicach piasek w ustach piasek
żółty jak stare złoto złoto
błyszczące w sklepowych witrynach
obląkany żebrak
śpiewał obok tych witryn
jego głos
tonął w ulicznym gwarze
żółte błoto

*

spaliłeś legitymację lecz znaczek zachowałeś kłosa
kawałek zębatego koła w środku płomień
ten sam co spalił legitymację miała
podobny kolor ognisko
płonęło na szkolnym apelowym placu pamiętasz
usłyszane wcześniej zdanie o grubych murach kremla
a potem o człowieku który tam pojechał
i wrócił martwy to wszystko
trwa nawet ten szczegół
że skonfiskowano ci króla maciusia czytanego
pod ławką w czasie wykładów o błędach luksemburgizmu
to wszystko to ty właśnie ty planujący
wraz z kolegami z klasy wyjazd do poznania
bo trzeba pomóc
i ty teraz
podpisujący w hotelowym autokarze coś
o czym nikt nie jest w stanie udzielić pewnych informacji

*

ten tłum – już potrafisz odróżnić ich rysy
od mieszkańców miasta – ten tłum stojący spokojnie
przed zamkniętymi drzwiami urzędu zatrudnienia
i równie spokojna kolejka przed sklepem mięsnym z urzędowymi cenami
przypomniały ci o czym winienesz pamiętać

*

w szklanej kuli
niereczywisty choć istniejący realnie zobaczyłeś
: to co trwa jest na kredyt ogromne
wykopalisko kula
pełna zgiełku i wrzawy

wraki aut rdzewieją na obrzeżach szos

*

szklana klatka pękła pokład pełen
wracających z pracy robotników drogowych
twoja ojczyzna kursy walut szanse
drobnych przemytów

twoja ojczyzna mały kraj nad zimnym
szarym morzem dopadła cię tutaj
jakbyś jej miejsce ujrzał w uśmiechu celnika
wyjmującego z podróźnej torby jedną z utraconych szans
: garstkę małych elektrycznych baterii

*

— — — czy trwa
wprawiając w ruch powietrze światło które
doścignęło cię że upadłeś wzniesiony
przez to światło dźwignięty
z martwych
 nie wiesz
jak to nazwać
 ten głos spojrzenie
prześwietlające cię jakbyś
był — będąc — w — drugim
 i cofnął się z lękiem
zostałeś
sam na sam z sobą
nie wiesz
jak to nazwać
zamknięty i ślepy
— głucha kula —
rozpoczynając się na nowo
musiałeś
porównać
to ogromne co wraz z tobą trwało
wewnątrz
nie wiesz
jak to nazwać
płonące
oko słońca
i ty
ciemny w tym świetle
na dnie
oceanu powietrza

*

czy naprawdę naprawdę u bram kazimiji
widziałeś Kozę u załomu muru
jaki miał kolor ten mur koza
była brązowa z długą sierścią chyba
w białe łaty a mur
mógłbyś to sprawdzić czy ta koza
wyszła na zdjęciu i czy mur
jeszcze istnieje co jest
na tym nieznanym zdjęciu które ma zaświadczyć
koza
stała gdy wchodziliście stała gdy wyszliście
z meczetu świętego miasta stała
gdy ten co was wprowadzał za was tylko za was
modlił się by przebłagać co z tego pamiętasz
co chcesz zapamiętać czy zapamiętałeś
smak tej herbaty którą piłeś przy świątynnym murze
zacięte surowe twarze kobiet oczy
żołnierza który bijąc czołem
modlił się i kraty
srebrne kraty błyszczące od dotyku warg
zieleń mundurów i twarz
ledwie widoczną w kapturze abaji

czy ten mur
stoi jeszcze czy też
dziewięćdziesiąt dziewięć imion boga recytuje piach
przez oczy w których widziałeś džihad sypie się piach
przez zielony mundur sypie się piach
żółty piach przez srebrne kraty przez mur
którego koloru nie pamiętasz

tylko koza
– chcesz wierzyć – stać będzie zawsze u załomu muru
wplątana w sekwencje zdarzeń
których nie próbujesz zrozumieć

*

nieoznaczone sekwencje zdarzenia
luźne niepołączone epizody
trwające samotnie

w kolistym czasie
nieruchomy płomień

(XI 86 – II 87)

Aneksy

5 III 1953,21⁵⁰

naprawdę nie pamiętam czy wtedy płakałem
(a powinienem płakać) kiedy cichło serce
świata i na placu który
był sercem świata pochowano serce
świata

głosy

fabrycznych syren i chusty czerwone
jak krew serce
wciąż biło w gazetach i wciąż
świeciła gwiazda to wówczas poeta
(nie zapłacone komorne i groźba eksmisji)
ponaglony
pisał wiersz o tej gwieździe
tak się zapamiętał
że napisał i drugi dał go do agencji
prasowej nazajutrz gazety
doniosły że zawsze będą nam zazdrościć
że żyliśmy z nim razem
w czasie który był
jego czasem
na szkolnym apelu
we wsi która była jednym z symboli tych lat
czerwone chusty zielone koszule
cisza
i naprawdę nie wiem
czy płakałem

ta ogromna samotność i zawsze
na pierwszym planie lub chociażby nieco
wyżej najchętniej z dziećmi z kobietami w chustach
z robotnikami którzy prosto od maszyny
przyszli do niego on
rzadko opuszczał gmach tu mieszkał tu
przemawiał pisał i rozstrzygał
sprawy tu śnił
w długie noce gdy cienie
rosły jak w filmach eisensteina (cenił go tak bardzo
że nie chciał dzielić się z nikim) gdy sen nie przychodził
miał zwyczaj telefonować znał

tę ciszę która rozlegała się zawsze gdy rozmówca
usłyszał imię co śnił
nareszcie sam tylko cienie
krwawiły i sięgały do gardła i
trzeba było je skazać nie było
innego wyjścia ciało
było zdradliwe jak podwładni lekarze
knuli spiski cienie cienie
sam wśród tych cieni z ciałem które boli
snem co nie przychodzi
i ciemnością która
pleni się za oknami jakże ją przemienić
w ład konieczny gdzie każdy element
ma swe jedyne miejsce piękny i przejrzysty
kryształ rosnący wżwyż
artyści
budowali tak samo teraz
umierają złorzecząc malują portrety
rzeźbią w ziarnkach ryżu wpisują dekrety
w brody przywódców wszędzie
bezkrwiste cienie struktura
psuje się jak ciało trzeba ją łątać
szukować odnajdywać ukryte przyczyny
skazywać
cienie
które wpełzają w krystaliczny projekt

na pierwszym planie w błysku fleszy terkocie
filmowych kamer wewnątrz
kryształu

wewnątrz
ból co z głębi jelit z krwawej jamy ciała
wyrwał się ciemny przetoczył się gromem
obiegł glob ciała nim się wykrystalizował
w uśmiech
jak gwiazda

na barkach wybranych (spośród wybranych) w rzece
jak gęstych tłumów jakby były
jednym ciałem przez które
przepływa rzeka krwi krew
tłoczy serce (które właśnie umarło; bije
w sercach innych) na lawecie w wyciu
fabrycznych syren trzasku salw armatnich
płaczu bezgłośnym co zaległ głęboko
i drąży skryte przejścia

trumna
płynie ponad głowami z wysoka
nie widać twarzy
jedynie konieczność
płacz
zamarza w śniegach

wysrebrza
szronem kolczaste druty

łzy pot i krew wynoszą
trumnę wysoko
wciąż
płynie
w ciszy
nierzeczywistej jak ona

na szkolnym apelu pośród zieleni koszul i drzew które
puszczały właśnie liście pąków kwiatów jeszcze
nie rozkwitłych czerwieni chust cisza zanim
rozejdziemy się do klas na lekcje

naprawdę nie pamiętam czy wtedy płakałem

XI–XII 87

27 VI 1956

*

życie
dogania sztukę jakaś rudowłosa
jakiś chłopiec który pochwyił padający sztandar
tramwajarki idące na czele
sztandar który niosą
życie dogania sztukę zakrwawiony sztandar
rudowłosa pojawia się w sprzecznych zeznaniach
popiersie przywódcy zwrócone do ściany
tram wpopszek ulicy rudowłosa
w oknie
urzędu
starsza pani
pisze wiersz o swoim rozstrzelanym sercu

*

to są
nieważne detale: postrzępiony sztandar
chłopiec w szarym ubranku
pytanie: gdzie upadł
kto sfalszował nekrolog skąd strzelano co
znaczyła
szara
koszulka
wzniesiona wysoko na sali sądowej
hasła na murach otwarte więzienie
papieros
gaszony na twarzy leżącego na peronie
rozbite sklepy głosy z megafonów
nazwiska których nie sposób się doliczyć pospieszne
nocne pogrzeby

drzewa

zazieleniły się liści
nie poczerzył jeszcze kurz i spaliny pąki
świeżo rozkwitłe

nieważne detale

zatarte daty na grobowych krzyżach
pamiątnik spalony w pomorskim miasteczku
bielma spadające z oczu w przyspieszonym tempie
lud który wszedł do śródmieścia i ludzie którzy
weszli do sklepów z żółtymi firankami

nieważne detale

spory kogo właściwie liczyć do poległych
kto strzelił pierwszy a kto rwał kamienie
z bruku co było widoczne z okien rozgłośni

ptaki

w zieleni drzew

ktoś mówił

o rękach które należy odciąć (wówczas? przy innej okazji?
i to nie ważne) samolot specjalny
oddziały w pogotowie hasło: chcemy żyć
i ciało

padające na sztandar

: życie

dogania sztukę

nieważne detale

rozbity samochód pancerny czołgi

z których strzelano i czołgi

które nie weszły

epizod
mieliśmy tam jechać ale właśnie
kończył się rok szkolny wyjeżdżaliśmy
do domów na letnie praktyki
opalaliśmy się na trawie która zaczynała żółknąć

XII 87 II–III 88

z albumu pospiesznie oglądanego

*

w albumie z pielgrzymki
do miejsca świętego świętych przywódca
pod portretem przywódcy czyta
księgę ksiąg uśmiechnięty
przywódca z portretu patrzy
na czytającego który
ze ściągniętą twarzą oczekuje
błysku flesza ta chwila
ma przejść do historii która zapamięta
zmarszczkę na czole
ojca narodu
i oczy
utkwione w księdze ksiąg i oczy
z portretu patrzące
na siebie czytającego
zegarek
(z portretem przywódcy?) mierzy
czas
który tylko pozornie
stał w miejscu

8X87

*

przywódca
modli się sam
wobec boga (który jest
miłosierny i litościwy) sam
wobec nieskończoności
(jeśli nie pamiętać
tych dwu co stoją za nim z rękoma
lekko odchylonymi od boków czujni
gotowi sięgnąć po broń)
sam
wobec
Króla Dnia Sądu
światła które oświeca i ognia
który spala (jeśli nie pamiętać
tego co przed chwilą
wyzwolił światło flesza i utrwalił
co winno być utwalone)

*(A którykolwiek z nich odchyliłby się
od Naszego rozkazu,
to dalibyśmy mu zakosztować ognia piekielnego.
I robili dla niego, co on chciał
sanktuaria i posągi...)*

sam
wobec obietnicy
znaków które
zostały dane
(jeśli nie pamiętać
tych dwu co stoją za nim)
(na uciętym zdjęciu
widać tylko ich ręce i stopy
silnie stojące na ziemi)
(głowy
wykadrowano)

21 XI 87

1972

to był
znakomity spektakl czysta
sztuka te głosy
zrywające się nagle w jednym punkcie sali
wzmacniające się jakby zyskiwały pewność
i – utwierdzone – rosły aż do zachwycenia
a potem cichły nagle i przemawiający
mógł znów przemawiać spokojnie i pewnie
aż w zawieszenie głosu wdarł się kolejny
wybuch entuzjazmu był
narodem naród
był przemawiającym
starannie ubranym mężczyzną z krótko
przystrzyżonymi włosami państwo
stało na trybunie uzyskało
potwierdzenie zapowiedź
miało już wcześniej
w hali stoczni przed którą
po latach budowano pomnik właśnie pochowanym
czysta sztuka śnieg
w narodowych barwach cichnące
staccato salwy rzeźba
przestrzelonej balustrady koncert
na głos z towarzyszeniem głosów
czysta sztuka znaczek
dawno nie istniejącej organizacji wpięty
w kieszeń dzinsowej bluzy
za stołem prasowym
w stolicy przygranicznego województwa starannie
notowałeś podjęte decyzje
czysta sztuka dobrze
zawiązany krawat o ton
ciemniejszy niż garnitur rzędy
podnoszących się z krzeseł zawieszenie głosu
pojedynczy okrzyk i głosy
skandujące coraz równiej śnieg
(w narodowych barwach) uprzątnięto
publiczne gmachy leczą blizny po pożarze
znaczek dawno nie istniejącej organizacji znów w szufladzie biurka

z trudem
przypominasz to sobie w parnej sali w basrze
poeta recytujący milczy na trybunie

mężczyźni w mundurach skandują zespół kurdów tańczy
portret patrzy na salę twój zielony mundur
(wygnieciony w pociągu) jest mokry od potu
twoja krew płynie w żyłach

7 XII 87

1981

odkąd
jestem na szczycie patrzę
inaczej powiedział
ten który wyszedł z dołów
być może
to właśnie po nim zostanie
w kraju gdzie na szczytach
rosną puste cokoły

7 XII 1987

to jest...

*

tak oto
wszystko symbolicznie długi
państwa i twoje oszczędności śnieg
który właśnie spadł i to co – topniejąc
odsłonił

to
przypomina ruiny te zwały
cementu pokruszonych płyt cegieł
w barwie spłowiałej krwi
biały całun śniegu
pod ołowianym niebem

*

wszystko
równie nieważne strzępy
nieznanej całości z głębi splątanego snu
na przenikających się piętrach śnionej pośpiesznie
jawy w głębi
odslaniającej się rzeczywistości

twarz
ruin

*

gdzieś w podziemiach
grom się przetacza piasek
przysypuje umarłe miasta piołun
porasta miejsca po domach

*

niczego
nie zdołasz się wyrzec to jest
twoje miasto porzucone w dzieciństwie
to jest
twoje ciało doskwierające
coraz bardziej
to są
polisy ubezpieczenia posagowego twych dzieci
ich
książeczki mieszkaniowe
to jest
twoje państwo
nadzieja
że zdołacie przeżyć

*

żyjesz
nierealnie jakby o moment za wcześniej
zdarzenia dościgają cię gdy już doświadczyłeś
ich skutków w ciemnej
jamie cienie
wyświetlają na ścianie coś czego sensu
możesz się jedynie domyślać już
to przeżyłeś sensory
odklejają się od znaczeń dryfują obrazy
persewerujące w coraz głębszą ciemność

*

trawa
porasta uparcie zgliszcza korzenie
brzozy (świeża zieleń liści) rozsadzają
piętra wypalonego domu
mieszkasz w którym

*

na zdjęciu: chłopiec
w za dużym mundurku harcerskim stoi
obok wypisanego na murze hasła
3 x tak
powtarza
trzy
razy
tak
trzy razy
tak
właśnie wyszedł
z lokalu w którym
odpowiedział na dwa niejasne pytania

*

urodzony
w nieistniejącym państwie w jego
byłej stolicy patrzyłeś
w wielką milczącą twarz ruin które
idą za tobą

XII 87 – V 88

Poranek: jeszcze jeden

*

tak oto mija i obłok i gwiazda

co dzień uboższy o setki neuronów
wymieniający się ciałem z ciałem świata w jego
wnętrzu wymienny z gwiazdną materią ze skrzydłem
ważki z trawą z obłokiem
wodoru nieskończenie lekkim
pyłem
przyszłych i byłych gwiazd
jesteś
jedynym stałym punktem
jakbyś zdołał
przeciwstawić
funkcję tego czym jesteś temu
czym jesteś
i jakbyś na chwilę
zdołał zatrzymać ten ruch
zdajesz się wierzyć
że to czego się wstydzisz twoje
cierpienie twój ból
nie powtarzają niczego i nie są
wymienne
twój głos
powtarzają gwiazdy to on tonie
w zimnych obłokach wodoru drży
w wędrownym świetle i wraca i słuchasz go i widzisz
swą twarz odbitą w przepływającym obłoku
z okiem wpisanym w trójkąt

właśnie tego
obawiasz się najbardziej

*

zrozumieć i wybaczyć to i tak
jest bez znaczenia wobec
błysku światła tęczącego w seledynowych oczach
jętki – jednodniówki (krąży
wokół słońca żarówki za chwilę ją spali
sztuczne światło)

to wszystko
jest bo jest piana
wrzawa powierzchni głosy
krzyczące ciemno o niejasnych sprawach
odzyskujący wiarę i tracący
wiarę
jak gdyby
było coś do stracenia

światło
jeszcze tęczy w małych pryzmatach
z chityny

zrozumieć i wybaczyć zanim się spełni
w jednym błysku
świat
jak odpowiedź na pytanie którego nie ważyłeś się zadać

*

w mgle nadrannej (ledwie
pierwszy poranny autobus wyjechał z zajezdni
pusty jak ciało umarłe) szedłeś
opustoszałą ulicą w torbie na ramieniu
niosłeś papiery
nowy numer pisma (ukaze się jak dobrze pójdzie
za dwa lata) antologię
młodych poetów (nadzieje
jeszcze nie porzucone szanse
jak usta przepaści) wiersze
starego poety na którego pogrzeb
nie odważyłeś się pojechać (ciemność
w krystalicznej jasności)
słowa
wiotka materia słów
ciężyły jak kamienie
wokół
trwały drzewa
trawa przerastała szczeliny trylinki
pies pilnujący parkingu zaszczeakał jakby spełniał przykry obowiązek
mgła rzędła rozstępowała się jak wody płodowe
wolno
wrażniały szare bloki w których
ostro natrętnie dzwoniły budziki

*

pasy fioletów i różu warstwie wzbudzonego światła
nisko nad horyzontem
w tej ogromnej ciszy
trwały
ukryte obłoki
jeszcze nie wyłonione z nieistnienia
jedynie możliwe
przetaczały się niewidomie

w ciszy
jak pogłos gromu

*

wiedziałaś: właśnie w tym momencie
ktoś kto śnił ciebie
nagle się obudził
i zstąpił z jednej
w drugą rzeczywistość
poczułeś się samotny
sam
zdany na siebie

nikt cię nie ścigał
niczego nikomu
nie byłeś winny

krajobrazy
złuszczały z siebie warstwy kolejnych widoków
zapadały się w siebie
małały do punktu
stężone do wybuchu

niczego nikomu
nie byłeś winny

naprzeciw tego
co jest możliwe

postanowiłeś śnić ten sen dalej

*

nic pewnego: głos ptaka ciemny błękit wizg
pierwszego porannego autobusu światło
żarówki nad kartką papieru

nic pewnego: dukt
pisma zeszyt w kratkę przekreślone
zdanie o trzy linijki wyżej chwila
wahania nim napiszesz
zdanie które właśnie napisałeś

nic pewnego: popiół
z papierosa który trzymasz w lewej ręce opadł
rozsypuje się dym
o ton ciemniejszy niż błękit za oknem
już się rozwiął

nic pewnego: dukt
pisma: tętno krwi (: właśnie usłyszałeś
swoje morze wewnętrzne
: krótki
skurcz bólu) światła
zapalające się w oknach naprzeciwko
pies który
uniósł głowę spojrzał na ciebie
i znowu zasnął: nic pewnego
zjawiskowa
realność

*

poranek na który czekasz przyjdzie – masz nadzieję
niebo w purpurze i fiolecie zapali się ujrzysz
pochody światła

czyste niebo

tak przejrzyste że rani je świergot obudzonych ptaków
(pierwszy zaćwierkał nieśmiało drugi odpowiedział
snuły tkaninę głosów) masz nadzieję
że wymieniał się (wymienisz?) z ich ciałkami wnkniesz
w korzenie traw w butwiejącą glebę
wyniesioną do śpiewu w ich gardziółkach (snuły
tkaninę głosów; pierzchała
ciemność za nimi; snuły równoległą
tkaninę mroku i światła – mogłeś wybrać
z ich głosów to co chciałeś) spełniał się
w purpurze i fiolecie jeszcze jeden
poranek

VI – VII 87

Młot

a ty z tej próżni

czy usłyszałeś głosy co ci powiedziały
czy mówiły językami czy tylko ciemnością
ptasi świergot roślinne trwanie miazga
zdarzeń i wielkie ciemne pulsujące
nic – ponad horyzontem

suwerenne państwo obłoków i trup
doświadczenia jego zwłoki
płyną za tobą w gęstym od wrzawy powietrzu
pośród krzyżujących się fal radiowych światła które niesie
posłanie
od śmiertelnych
– tak jak ty –
galaktyk

głos byłby wybawieniem gdybyś mógł doświadczyć
skrytą w ptasim świergocie i roślinnym trwaniu
pierwszą przyczynę
lub choćby trwające
w neutrinowym strumieniu
świadectwo wspólnoty

czemu drwiesz

to już się nie powtórzy: po latach doświadczeń
porzuconych nadziei (które zapomniałeś)
nocy krótkich jak mgnienie i nagłych poranków
jak darowana szansa – nic nic trwające
wielkie nic

kiedy ta próżnia

ptak woła: jeszcze nie czas nie czas jeszcze
abyś kres dojrzał z ciemnego nieba
zstępują obłoki: świetliste; przez moment
trwają w bezruchu; białopióre; potem
wiatr je rozwiewa pustoszeje ciemny
błękit wiszący nisko nad ziemią która
zdaje się powtarzać milczące
ślady ich przejścia jak gdyby czekały
– ziemia i niebo – błyskawicy która
zszyje rozdarte

ptak krzyknął i umilkł

nie drwi

w samo południe jasne światło pada
prosto na ziemię zaciera kontury
drzewa zrzucają liście ptaki się gromadzą
gotowe do odlotu

powtarzalny rytm
zdarzeń i twoja przypadkowa kiedyś darowana
obecność (powtórz
nigdy się nie wypłacisz) w błysku ocalenia
części większej niż całość
: źdźbło
trawy
: ślad
przejścia obłoku
: ślad
który odcisnąłeś w twardym jak kryształ powietrzu
w zdaniu
jak świergot ptaka urwany na nagle wnoszącym się tonie
już go nie pojdziesz
w drzewach
(które zrzucają liście) płynie
twoja krew
ptak
krzyczy twym głosem

z siebie

obraz wyświetla się w powietrzu: twoja
twarz już w rozkładzie gdy mięso odpada
od kości
: świeci
biała kość jak czaszka z Lubaantuna (zwana
Czaszką Przeznaczenia) wyświetla w swym wnętrzu
Wzgórze Czaszki i umarłego na tym wzgórzu pochody
światła i tłumne pochody
idących ku zatracie

szczytujący w błękit
dół
wapna

ciemne głosy

bezlístne drzewo w mgle wieczoru ptak
który krzyczy skwir skwir jakby zapowiadał
świat w świata okrwawionym łonie

skryty w ciemnościach ptak drzewo na wzgórzu
sprzeczne zeznania o ostatnich słowach
które zostały

jakby można było
zszyć co rozdarte

widok pustoszejący z dala od widzających
doświadczenie które umarło cię i wielkie ciemne pulsujące

nic – ponad horyzontem

IX – X 87

Miasto

(notatki)

*

ruiny na ruinach pospiesznie wznoszone
staro – nowe makiety mury
prawdziwsze od prawdziwych gdybyż jeszcze
zrekonstruować ospę po kulach liszaje
wilgoci tynk
nasiąkły krwią i mdląco – słodki
smród rozkładających się ciał

widmowe
miasto

jeszcze ocalałe
z przyszłych pożarów

*

po wypalonych schodach wypalonego domu
wchodzi chłopiec
i tak idzie
lata mijają a on idzie
i za nim
snuje się dym i nie rozprasza się i schody
ciągną się
nieskończone
i tak idzie ten chłopiec po wypalonych schodach wypalonego domu
idzie i idzie

*

jeden ze snów dziecięcych:
eskadra
ogromnych wstrzymanych w locie bombowców
śniąc wiedziałem
że przecież ruszą
ale jeszcze
trwały w bezruchu

i patrzyłem na nie
śniąc i wiedząc że śnię
i czekałem
huku bomb

cały
w zachwyceniu

w rozkwitającym
leju
w dole

*

powoli dźwiga się w górę i płynie nad miastem
ciężki obłok

długie włosy
snu
kruszą się
splątane

*

trawa na gruzach nie wyrosła jeszcze
– nie pamięta tych gruzów jeszcze nie pamięta
popiołów ani ognia

czy mógłbyś mu zazdrościć po takiej wiedzy
jakie przebaczenie łaknąć
świata źdźbła trawy kropli
rosy na tym źdźble słońca
odbitego w tej kropli

nagłej całości

czy potrafiłbyś wybaczyć mu ten zachwyty

*

te ogromne ruiny: śnią się nieustannie
jedyna oczywistość

nie wymagają potwierdzeń

korytarze grząskiego powietrza przedzieraszą się przez
nie ciemno świecące stawiające opór
pod niskim pułapem chmur

nie pamiętasz
innego świata

*

śniłeś czy byłeś śniony w ruinach które
– widziałeś: dźwigały się świeciło
zimne światło konieczności i rzeka rozumna
– nawadniająca piaski – toczyła
potrzaskane pomniki gruz kości i złom
żelazny przekuwała na tryby które mełły wznosiła
domy fabryki i kamieniołomy
zamarzniętych w transportach wznosiła
tych co w dole

czzerwona
od krwi

gwiazda
uświęcającego celu

*

uwaga drzwi się zamykają uwaga nadchodzi
śniesz się sobie w zawalonym schronie
w mgle oddechów tak ciężkich jak pamięć
nic się nie zdarzy dym
ciągnie się nad ruchomymi granicami kraju
odslania niedowcielone tren
dymu popiół
pamięci i ci obok zaprzątnięci trwaniem
tak dojmująco młodzi skryte przejścia
usprawiedliwień drzwi się
zamykają wracający z pracy
jadący do pracy gazety notatki z wykładów
tak nieprawdopodobnie żywi drzwi się
zamykają poddany
rzeszy robotnik
w fabryce broni w folwarku na wschodzie
przysypany gruzem zabity w ucieczce
na pruszkowskiej szosie umierający
na poboczu kolumna
nie przerwie marszu uwaga
nadchodzi
z wszystkich możliwości
to co się zdarzyło jest najmniej
prawdopodobne następna stacja
pole mokotowskie

nad miasto płynie przedwieczorna mgła

*

wiem ale nie pamiętam – sypki piasek zdarzeń
przez wichrowe aleje – światło prosto w oczy
płakałem wtedy na pruszkowskiej szosie
– tak mi mówiono

skazany wyniosłem
miasto płonące z płonącego miasta
płonąc i popielejąc

*

wloką się – długie jak tren wozów ciągnących na zachód
włosy snu
przez wszystkie miasta gdzie mieszkałeś

obłoki skryte za ciężką zasłoną chmur
są – wiesz z doświadczenia
i miasto – niedoznane przepływa przez pamięć
wzgórza błękitu wznoszą się wysoko

*

to bezpowrotnie utracone miasto
– stolicę byłego państwa – gdzie się urodziłeś
właśnie wzniesiono z ruin

i jest ci obce który pokochałeś
czerwono – żółty sztywny neogotyck
– bo miałeś go pokochać

choć kto teraz dojdzie
jak to było naprawdę

wspominając trawę
porastającą zgliszcza i drzewa
rosnące na ruinach wiesz tyle: że rosły
i tym były zajęte

*

z wnętrza doświadczeń z ciemnych warstwic snów
sztolni głębokich rytych w żywych ciele
co się wyświetla krwawiąc co się zszywa
co w kryształ rośnie i co wewnątrz
horyzontu zdarzeń świeci jak gasnąca
gwiazda zapadająca się do wewnątrz

i to – zewnątrz – milczące

*

mewy krzyczą za oknem ołowianym niebem
ciągną gawrony mgła nadciąga rok
się kończy szadź
opada

świat
jeszcze istnieje

92 – 93, 97 – 98

Odwracanie przepaści

Od wielu lat istnieje Andrzej K. Waśkiewicz – poeta i krytyk. Krytyk na tyle wybitny, że przysłaniający swym cieniem poetę. Poeta na tyle wybitny, że godzący się żyć w cieniu. Bo poeci wybitni nie bywają łatwi ani mili dla czytelnika. I wcale na światło dzienne się nie pchają.

Przystępując do pisania tych słów przede wszystkim uświadomiłem sobie, iż Andrzej K. Waśkiewicz stał się ofiarą pewnego paradoksu: setki stron, jakie zapisał na temat innych poetów, kwanty energii, jakie zainwestował w ocalenie jednych bądź lansowanie drugich – to był trud o wysokiej cenie. Cenie usunięcia samego siebie z pierwszego planu, cenie ukrycia poety za plecami krytyka. Nie, nie rezygnacji z ambicji i woli pisania – rezygnacji z wyrazistego manifestowania własnej podmiotowości twórczej. Czytelnicy zresztą z lenistwa przyjmują takie ułatwienia: skoro Waśkiewicz jest tak aktywnym krytykiem, to jest... krytykiem!

No bo i ten wybór wierszy przeciwwagi dla krytycznoliterackiej działalności autora nie stanowi. I nie ma takiej potrzeby. Zbyt poważnym dorobkiem w tej dziedzinie Waśkiewicz się legitymuje, by z tej okazji dorobek ów usuwać na drugi plan. Przypomnijmy: szkice i artykuły Waśkiewicza zawarte w książkach *Rygor i marzenie*, *Modele i formuła*, *Formy obecności „nieobecnego pokolenia”* czy *Ósma dekada* to niezwykle ważne diagnozy współczesnej poezji, której krytyk stał się nie tylko historykiem, hermeneutą, ale i socjologiem. Te opisy były wzbogacone licznymi artykułami na temat poezji dwudziestolecia międzywojennego, zwłaszcza na temat Awangardy krakowskiej (tom *W kręgu „Zwrotnicy”*). Waśkiewicz w swej inwencji edytorskiej przypominał nam także postaci niezwykle frapujących twórców, chociażby Mili Elin, Jerzego Jankowskiego czy Lecha Piwowara, nie mówiąc o pełnym krytycznym wydaniu wierszy i dramatów Tadeusza Peipera, wyborze eseistyki Jana Brzękowskiego; jego dwutomowa edycja wierszy Anatola Sterna stała się w 1986 roku historycznoliterackim wydarzeniem i jak gdyby zwieńczeniem żmudnej skrupulatności na tym polu. Bez tej skrupulatności nie mielibyśmy także uporządkowanej i udokumentowanej fali debiutów z okresu kilkunastu lat. Cykliczne antologie debiutów poetyckich, wydawane wraz z Jerzym Leszinem – Koperskim, to ewenement nie tylko bibliograficzny. Towarzyszyła temu ogromna praca włożona w wylawianie i lansowanie młodych talentów, czego dowodem są chociażby dwie serie poetyckie: „Generacje” i „Pokolenie, które wstępuje”. Nie mówiąc już o innych antologiach (np. *Wnętrze świata*) i pismach (np. „Integracjach”, „Autografie”), których Waśkiewicz był jak *spiritus movens*. Ten dorobek krytyczny w zasadzie doprasza się już oddzielnego zeszytu bibliograficznego. Aktywność krytyczna i edytorska Andrzeja K. Waśkiewicza pozostaje w okresie ostatnich trzydziestu lat chyba bez precedensu. I w zasadzie jest niezwykle konsekwentna: mamy do czynienia z krytykiem zafascynowanym dziejami awangardowo – peiperowskiego przełomu w polskiej poezji współczesnej i tropieniem dalszego losu czy też wymiaru cezura na tym polu. Dlatego z taką uwagą Waśkiewicz

towarzyszył, a raczej śledził każdą grupę, każdy program poetycki, każdą rzeczywistość bądź pozorną ewolucję, każdy z „nowych roczników”. Z całą świadomością, że zadaniem krytyka jest uchwycenie procesów „naocznych”, którą to szansę trzeba z całą energią wykorzystać nie zasklepiając się w opłótkach własnego pokolenia, opłótkach już za chwilę trafiających do muzeum literatury. Toteż Waśkiewicz stał się biegłym ekspertem współczesnej poezji, bankierem informacji i interpretatorem procesu. Nie jedynym, rzecz jasna, ale chyba najbardziej wszechstronnym. Tej roli przecenić się nie da.

No więc z etykiety krytyka Waśkiewicz się nie wyzwoli. I przede wszystkim nie ma powodów, by jakiegokolwiek wybory twórczej klasyfikacji autora były konieczne. Lektura tego tomu musi jednak zastanawiać, na ile funkcjonowanie Waśkiewicza jako poety na drugim planie jest dla nas stratą? Na ile liryka ta zasługuje na dostrzegalne i autonomiczne miejsce na mapie współczesnej poezji? I czy opisując tę mapę bez Waśkiewicza nie popełniliśmy zbyt wielkiego przeoczenia?

Kiedy czytamy wiersze krytyka, jesteśmy skłonni powiedzieć: no, teraz on nam pokaże, jak to się robi. I właśnie najczęściej pomiędzy świadomością literacką a realizacją artystyczną pozostaje tak długa droga do przebycia, że tylko niewielu mogło ją z powodzeniem pokonać. Temperament analityczny czy postulatyczny z natury rzeczy jest temperamentem teoretycznym. Ale w momencie aktu artystycznego wiąże też ręce nadmiarem świadomości, dystansu i odpowiedzialności nie sprzyjających spontanicznym porywom pocziwego natchnienia. I jak sobie Waśkiewicz z tym poradził? – oto kolejny ciekawy problem.

I wreszcie: do jakiej tradycji Waśkiewicz przynależy? On – sekundant Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, on – jeden z promotorów Nowej Fali, on – baczny obserwator „nowej prywatności” i „nowych roczników”. Kim sam jest jako poeta? Jakie znaki równości można postawić między nim a formacjami, którym towarzyszył?

Przede wszystkim musimy sobie uświadomić, iż poezja w biografii twórczej Waśkiewicza jest czymś wszechobecnym, pierwotnym i prymarnym. Wszechobecnym, ponieważ poza jednym epizodem prozatorskim (powieść *Dom z płaskim dachem*, 1966) zdominowała nawet wszystkie działania krytyczne autora; w literaturze poezja interesuje Waśkiewicza głównie lub może nawet wyłącznie. Zaś pierwotnym i prymarnym dlatego, że do tej pory – co może niektórych czytelników zaskoczyć – pośród autorskich książek Waśkiewicza przeważają tomiki, właśnie tomiki. Zanim ukazał się pierwszy zbiór szkiców krytycznych (*Rygor i marzenie*, 1973), Waśkiewicz był już autorem sześciu książek poetyckich. Kiedy wychodziła druga książka krytyczna, poeta miał już za sobą pierwszy, skromny wybór wierszy (*Bezsenna jawa*, 1977).

Tak więc związki Waśkiewicza z poezją trudno określić mianem przygody. Od chwili debiutu prasowego w „Zarzewiu” w 1961 roku poezja stanowiła bardzo istotną część jego osobowości twórczej. Wiersze rodziły się powściągliwie, powolnie, lecz dziś już – jak widać – nie brak materiału do poważnego podsumowania i analizy. Ta twórczość, trudno na ogół dostępna i słabo upowszechniona, może nawet niektórym czytelnikom objawić się jako wręcz rewelacyjna.

Andrzej K. Waśkiewicz jest rówieśnikiem pokolenia poetów Orientacji „Hybrydy”. W almanachu tej grupy pt. *Post scriptum* (1966) występuje jeszcze jako sympatyk warszawskich poetów, ale późniejsze związki z piśmem oraz książka *Modele i formuła* świadczą, iż ta sympatia przerodziła się w poważniejsze więzy. Krytycznoliterackie.

Orientacja nie była grupą programową i nie tu należy dopatrywać się powinowactw Waśkiewicza. Mieści się on w tym ruchu na tyle, na ile sam formułował jego istotę. A więc jeśli uznać Orientację za przejaw realizacji modelu poezji wykraczającej poza „krąg wyobraźni kombatantów”, nowego modelu imaginarium i światopoglądu poetyckiego – to Waśkiewicz te właśnie tendencje na swój sposób reprezentuje. Kreacyjność, poetyka definicji, formuizm – to wszystko było mu bliskie. Pisał, iż Orientacja „stworzyła poezję, będącą nie

tylę obrazem świata, w którym przyszło nam żyć, ile – na ten świat odpowiedzią, nie twórczością zamkniętą w obrębie naszego czasu historycznego, ale – nakierowaną w przyszłość”. I w tak globalnej ocenie Orientacji mieści się także sam Waśkiewicz; ten osąd ogólny dotyczy i jego. Waśkiewicz do grupy nie należał, lecz nie był też outsiderem własnego pokolenia. Może dlatego – obok Piotra Kuncewicza i Janusza Maciejewskiego – najlepiej pojmował „orientacyjne” racje i cele, stał się ich egzegetą.

Znamienny kłopot następuje jednak po lekturze tych wierszy: jeśli określić jakiś szablon „orientacyjnej” poetyki, to ciężko jest wtłoczyć weń Waśkiewicza. Nie te słowa – klucze, nie ten sposób obrazowania i w końcu cała ontologia poetycka ewoluująca w nad wyraz indywidualnym kierunku. W posłowie do *Bezsennej jawy* poeta pisał, że jego fascynacją jest „wiara, iż rzeczywistość rozwija się ewolucyjnie, że świat, w którym żyje autor tych wierszy, jest spójną, racjonalną strukturą, że rządzą nim reguły, a nie odstępstwa od nich”.

Podobna intuicja racjonalnego porządku znamionowała przecież np. Przybosa. Jak jednak mieć pewność, że subiektywne przecucie i obiektywna rzeczywistość są ekwiwalentami tej samej prawdy? W którym miejscu przestrzeni między subiektywizmem a obiektywizmem znajduje się Słowo; jakim jest lub może być medium? Czy ambiwalencja znaku i rzeczy jest naturalnym składnikiem reguły, czy fatamorganą słownego istnienia? Czy więc – w rezultacie – poezja jest narzędziem poznania, utopią czy sposobem istnienia? Czy jest aktem objaśniania świata, pojednania z nim, czy też budowania na jego antypodach enklaw i alternatyw solipsystycznych?

Waśkiewicz jest nad wyraz świadomym i czujnym krytykiem własnej poezji, by ktoś inny musiał go wyręczać w odpowiedzi na te pytania. Cały ten system dylematów uległ wyraźnie sformułowanemu autorozpoznaniu, które tutaj pokrótce zreferujemy. Otóż w twórczej nadświadomości poety olbrzymią rolę odegrało kilka celów i zasad. Były one dość konsekwentnie realizowane w praktyce poetyckiej, chociaż sam Waśkiewicz często weryfikował i przesiewał własne wiersze. Wiedza krytyczna była prawdopodobnie wobec tej praktyki wtórna, chociaż na pewno z biegiem czasu przeradzała się także w jej stymulatora.

Otóż zasadniczy i pierwotny dylemat tej twórczości polegał na próbie rozwiązania antynomii rzeczy i znaku. Czyli na określeniu fundamentalnych możliwości poezji: systemu zasad i „technologii” jej powiązań i korelacji z rzeczywistością. Trzy podstawowe sposoby miały tę próbę doprowadzić do skutku: „doopis”, czyli zbliżenia się do rzeczy poprzez tworzenie wyobrażających je sytuacji, następnie ekwiwalentyzacja cech rzeczy, w końcu opis – budowa, czyli jak gdyby równoczesna rekonstrukcja i kreacja rzeczy. W tytułowym wierszu *Próby uzasadnienia* (1970) pada refleksja: „przeto się powtarza w innej manierze wciąż ta sama kwestia” – i jest to poniekąd ów wyraz wiary w przynależność rzeczy do znaków. Oraz wiary w „plastyczność” znaków mogących na różne sposoby dostosowywać się do rzeczy. W samych zaś wierszach spotykamy często bardzo piękne, pełne skojarzeniowej wyobraźni opisy rzeczy i zjawisk. Udawało się Waśkiewiczowi językiem poezji odkryć bardzo zaskakujące i przekonujące prawdy o świecie zewnętrznym.

Jednak właśnie w *Próbie uzasadnienia* autor dystansuje się wobec podjętego trudu, pisze wręcz, że dokonał realizacji negatywnej, udowodnił samemu sobie, jaką poezja być nie powinna. Najtrafniejszy nawet opis okazał się dla poety dokonaniem o wątpliwej istocie. Ekwiwalentyzacja znaku i rzeczy wydała się jakby zabiegiem jałowym, niewystarczającym. Dochodzi Waśkiewicz do wniosku, że poezja nie powinna polegać na możliwie precyzyjnym zbliżaniu się do rzeczywistości, że jej poszukiwania powinny dotyczyć sfery znaczeń, a nie sfery rzeczy. Po prostu okazało się, że możliwie precyzyjny opis rzeczy nie tłumaczy do końca fenomenologii i teleologii ich bytu oraz naszego miejsca w ich świecie. Przystwojenie świata zewnętrznego nie dokona się za pomocą zrozumienia rzeczy i zjawisk. Li tylko zrozumienia. Zjawiskowa struktura rzeczywistości nie zdradza jej „struktury głębokiej”.

Kolejnym sposobem okiełznania rzeczywistości staje się redukcja jej elementów

przenoszonych do wiersza. To jak gdyby zabieg „ociosywania pejzażu”, sprowadzania świata do elementów „rdzennych”. One zaś okazują się ambiwalentne i wieloznaczeniowe, mogące istnieć w licznych mutacjach, układach i funkcjach. Ambiwalencja znaczeń odpowiada ambiwalencji samej rzeczywistości, odzwierciedla jej różne aspekty. Rzeczywistość niemożliwa do jednoznacznego zrationalizowania uzyskuje więc w wierszu obraz analogiczny. Wiersz jest analogiczną strukturą rzeczywistości. Paralelą. Nie chodzi więc już o jedność znaku i rzeczy, tylko poniekąd o „teorię odbicia”.

Znak, będący analogiem rzeczy – unieruchamia ją. Określa. To zaś, co unieruchomione i określone, staje się przyswojone, przestaje być zewnętrzne. Na tym polegał sens formulistycznej koncepcji poezji Andrzeja K. Waśkiewicza. Tworzenie obrazów – formuł nie miało jednak służyć opisowi, tylko zaanektowaniu rzeczywistości, wyjściu poza nią poprzez wchłonięcie jej w siebie. Formuлизм nie zmierzał ku satysfakcji definiowania, lecz definiowanie podporządkował przeżyciu solipsystycznemu.

„To co się zdarza, zdarza się w tobie [...] śniesz świat rzeczywisty który się w tobie rozlega” – przeczytamy w tytułowym wierszu *Tożsamości* (1973). I w tym tomiku wyznanie oraz credo zasadnicze: „Poezja chce nie tyle opisać świat, ile zdefiniować sposób, w jaki w nim istniejemy. Nazwać to, co przed czy poza racjonalne, wymykające się definicjom. Być może ta ciemność jest tym, co w naszym istnieniu jest jedynie ważne. Zupełne. [...] Poezja – jako sposób istnienia. Nie narzędzie poznania rzeczywistości, ale sposób uczestniczenia w niej”.

Jest to filozofia osobliwa i ocalająca tyleż sens poezji, co sens życia. Racjonalistyczny agnostycyzm przestaje być dramatem, albowiem akt uczestniczenia w rzeczywistości to wyraz podmiotowości istnienia. Skazani równocześnie na osobność i tożsamość, mamy jak gdyby równe szanse na rozpad i ciągłość, śmierć i życie, jawę i sen, prawdę i nieprawdę. Ale tak jak znak jest pośrednikiem pomiędzy rzeczą a ideą, tak pomiędzy powyższymi antynomiami poezja przekształca przedmiotowość w podmiotowość istnienia. Wszelkie „próby uzasadnienia” mają dotyczyć nas samych.

Zwątpienie w opis, w próby określić, które są „zawsze obok rzeczy”, i złożenie na poezję zadania ekwiwalentyzacji świata doprowadziło Waśkiewicza do wiary w kreacjonizm liryki. W wierszu *Pisane nocą* odczytamy taki oto stosunek wobec rzeczywistości obiektywnej:

jedyna pewność: ta piękna możliwość
że jestem z nią tożsamy – nic nie jest zewnętrzne
nic nie jest poza nocą – jedynie granica
– moja i nocy – na której się dzieje
projekt rzeczywistości

Jednak w sferze projektu, ułudy i snu ta rzeczywistość wciąż tkwi. Jakby była do końca niesprawdzalna i niedostępna, do tego stopnia abstrakcyjna, że być może wcale nie bardziej prawdziwa niż podmiot liryczny. Toteż między konkretem a wizją, reizmem a wyobrażeniem rodzi się całe napięcie intelektualne i emocjonalne tych wierszy. Ich domysł. Tylko jak dać „świadczenie udziału” pośród tak nieuchwytniej materii życia, w jaki sposób wyrwać się z solipsystycznego kokonu istnienia? Jak przebudzić „sen, który nas nie opuszcza”?

Waśkiewicz bardzo plastycznie i obsesyjnie wręcz kreuje ową dwuwymiarowość istnienia. Zewnętrzności i obcości świata przeciwstawia doznania najprostsze, choć pewne, bo nawet somatyczne. Zwłaszcza natrętnie powtarzający się topos krwi staje się tu symbolem wewnętrznej wrażliwości, tętnem świadomości odreagowującym na impulsy świata. Lecz ten horyzont doznań jest stale poszerzany i ostatecznie przenoszony w przestrzeń kosmologiczną. Podstawową opozycją pojęciową i imaginacyjną tej poezji jest opozycja ciemności i jasności. Sen staje się naturalną konsekwencją nocy, jasność i gwiazda – konsekwencjami domysłu i nadziei. Niczym pomiędzy dwoma potężnymi siłami światła i mroku kryje się

tajemnica istnienia boleśnie niedostępna: „w łódce skóry płynący przez morze ciemności” człowiek zabliznia się w ranie świata, jej „okrwawione łono” rodzi go i pochłania. W tym wiecznym procesie nie następuje jednak przenikanie się organizmów i struktur, raczej ich konsekwentne wynikanie z siebie aż do oderwania i zaprzeczenia. Nawet „wiersz który jest więc już nie jest tobą”. Ale też dzięki takiej regule wszystko staje się „czystą możliwością” – jej fetysz, obietnica i nadzieja to kolejna obsesja tej poezji. Świat staje się strukturą otwartą i ewoluującą:

to co potencjalne jest więcej jest
szansą niespełnień więc także – nadziei

Dziedzictwo, Przestrzeń po człowieku czy Tożsamość to były książki, w których gwałtownie ewoluował cały kaliber tej liryki, niosącej coraz poważniejszą, filozoficzną wizję świata. Sam debiut może był najmniej ciekawy, jeszcze jakby podzwaniający echem socrealistycznego imaginarij, lecz później w tej poezji rozpoczęły się szalenie istotne poszukiwania formalne i egzystencjalne. A więc badanie relacji pomiędzy słowem a rzeczą. Idea „formulizmu”, tropienie reguł ekwiwalentyzujących byty werbalne i amaterialne i... stopniowe dochodzenie od tych „technologicznych” problemów ku dostrzeganiu metafizycznej zagadki świata i losu. Waśkiewicz rozdarty między poczuciem totalnej alienacji i totalnej tożsamości zdołał z tych sprzeczności zbudować usystematyzowaną wizję filozoficzną żywiołów organizujących istnienie, szukał ścieżek pomiędzy chaosem a regułą, rygiorem a marzeniem i – po drodze – ukazał nam przejmujący obraz tych zmagania, wątpliwości, przekonań, które nadawały jego poezji coraz bardziej namiętny, osobisty ton. W poetyckim programie Waśkiewicza trzy kwestie uzyskały szczególną wagę: stworzyć taką strukturę wiersza, która by odzwierciedlała całą ambiwalencję świata, wchłaniała ją w siebie, a więc oswajała całą obcą zewnętrżność; zdefiniować świat za pomocą kreacji poetyckiej; uczynić poezję sposobem istnienia, metodą współuczestniczenia w rzeczywistości. Taki program mieści się w ideale „życiopisania”, z tym jednak, że w przypadku Waśkiewicza mamy do czynienia z dociekliwą i zracjonalizowaną realizacją tego credo, a nie z jego naiwną i czysto emocjonalną odmianą, którą uprawiał – jak wiemy – Stachura. Stąd zresztą być może tak trudno popularyzować Waśkiewicza, choć w porównaniu z nim poezja właśnie np. Stachury jest dziecinnym kwileniem.

W zrodzonym pod wrażeniem podróży do Iraku (1986) utworze *Mirbad*, 7 dochodzi do głosu kolejne zdziwienie dezintegracją życia i losu:

cały na zewnątrz – jak ogromna małża
na brzegu oceanu...

oraz poczucie fragmentarycznego istnienia w świecie. Mieszają się ze sobą epizody, reminiscencje, „sekwencje zdarzeń”, realia bliskowschodniej wojny nakładają się na wspomnienia z dzieciństwa, konkrety historyczne i kulturowe przeplatają się z uniwersalną refleksją egzystencjalną – a jednak w tej poplątanej i chaotycznej rzeczywistości dokonuje się jakaś próba syntezy, próba scalenia epizodów, doznań i doświadczeń. Próba odnalezienia w poszarpanym świecie samego siebie. Albowiem ideał spójności, całości i jedności okazuje się najwyższym i ostatecznym dążeniem tej poezji. Dążeniem nieosiągalnym, stale sytuowanym w różnego rzędu antynomiach i rozdarciach oraz dysproporcjach (małża – ocean), ale jednak dążeniem nieprzypadkowym, będącym intuicyjnym przeczuciem nadrzędnego ładu. Kosmicznego porządku.

Małża i ocean są obce i tożsame, odrębne i nierozzerwalne, różne i pojednane ze sobą, współuczestniczące w tej samej rzeczywistości. Nie bez konfliktu i dramatu, ale też nie bez

sensu i związku. Rozpoznawalny staje się dialektyczny mechanizm reguły, choć nie jego eschatologiczna celowość. Porządek świata i wzajemne sfunkcjonalizowanie jego elementów to właśnie dowód Całości.

Geneza *Mirbadu* jest istotna, ma swoje znaczenie w wymowie całego utworu, acz nie należy jej przeceniać. Banalne, w gruncie rzeczy turystyczne doznanie, przerodziło się w ewokację twórczą, która nagle jakby zaczęła obejmować doświadczenia całego życia, sumować całą biografię.

Z „turystycznych” sekwencji, scenek i obrazków zbudowana jest spora część *Mirbadu*. Ulice, domy, hotele, ludzie, fragmenty miasta, kątem oka zauważone rzeczy i epizody, ale także i przede wszystkim widoczne znaki toczącej się gdzieś niedaleko wojny: żołnierze i mundury, pojazdy opancerzone, karabiny, ruiny, zasieki – i nagle w tym pejzażu budzi się ktoś, kto urodził się w 1941 roku w Warszawie, kto miał trzy lata, gdy rozszalało się Powstanie Warszawskie, kto z matką był więziony do pruszkowskiego obozu... Więc: „nieoznaczone sekwencje zdarzenia /luźne niepołączone epizody/ trwające samotnie /w kolistym czasie/ nieruchomy płomień”.

Jakby zamknęło się koło życia, jakby płomień i ruiny były te same, wtedy i teraz, tu i tam. Nagle w dwu różnych rzeczywistościach kulturowych pojawiają się znaki identycznego losu, pejzażu, doświadczenia biograficznego. W słowie odautorskim Waśkiewicz sam najlepiej wyraża – ideę, która jest sednem *Mirbadu*: „Moim pierwszym doświadczeniem był ogromny krajobraz ruin. Być może jest tak, że dopiero wtedy, gdy znajdziemy się w obcej kulturowo przestrzeni, w stanie szczególnego rozchwiania tożsamości, potrafimy zaktywizować te doświadczenia, które w normalnych warunkach spychane były na obrzeża świadomości? Zobaczyć inne ruiny, by naprawdę ujrzeć te własne”. ... I dalej: „Świat budowany na – doświadczonych – ruinach nie jest całkiem taki, jak zdawał się być możliwy.”

Najwspanialsze w *Mirbadzie* jest to uświadomienie wspólnoty losów, powtarzalności sytuacji historycznych i egzystencjonalnych, to powielenie jednostkowych doznań w zbiorowości, fragmentu w całość, epizodu w symbolu, incydentu w micie, spraw mikro w mechanizmach makro.

Problem etyki, problem odpowiedzialności stają się także wartością wspólnoty, jednym słowem sprzeczność w dialektycznym układzie społecznej alienacji i społecznej tożsamości człowieka to nadal główny element konstytuujący poetyckie wizje Waśkiewicza. W *Mirbadzie* ta „etyczność” wspólnoty jest czymś krzepiącym i konstruktywnym, bowiem cały ten świat to właśnie świat ruin, destrukcji, rozpadu, trwogi, destabilizacji. Wychodzimy ze zgliszcz i w zgliszczu powracamy, wszędzie dopadnie nas pożoga, wewnętrzna i zewnętrzna, wojna. Oczywiście pacyfistyczne odczytywanie *Mirbadu* to tylko najniższy z możliwych poziomów; te sceny są przenoszone, przekładane na język traktatu egzystencjonalnego i metafizycznego. Można *Mirbad* traktować też jako swoisty zapis obsesji polskich – w ogóle zauważmy ile tu zbieżności z Różewiczowskim modelem doświadczenia poetyckiego – ale i one uniwersalizują się w tych paralelach historycznych i kulturalnych, wpisują się jako analogia w cały mit śródziemnomorski.

Mirbad jest powrotem Waśkiewicza do polskiego dzieciństwa i do własnej biografii, a zarazem ich przewyciężaniem. W *Aneksie* znajdziemy teksty już bardzo wyraziście związane z typowo polskimi losami pokolenia Waśkiewicza, ale też mamy próbę dystansowania się do nich – z perspektywy innych czasów, innej kultury, innej wojny to wszystko jest tyleż prawdziwe co względne, tyleż niepowtarzalne co powtarzalne, ważne, że jeśli autentyczne, to ogóle w wymiarach zbiorowych i zataczających jakieś obłędne, spiralne koło w pansystemie reguł i przeznaczeń.

Tak wygląda najistotniejszy kierunek dociekań poezji Andrzeja K. Waśkiewicza. Mamy do czynienia z poezją na wskroś metafizyczną, poszukującą nadrzędnych i niepoznawalnych racjonalnie reguł istnienia, poszukującą wytłumaczeń dla dramatu ludzkich ambiwalencji. Tak

motywowana wizja świata osiągnęła w tej poezji kształt pewnego systemu myślowego, wewnętrznie dialektycznego. Waśkiewicz scala doświadczenia zewnętrzne i wewnętrzne nie podważając ich autonomii i z ich antagonizmów budując przejmujący obraz ludzkiej samotności egzystencjalnej. Jedność równoczesnej obcości i tożsamości ze światem staje się podstawowym tropem metodologicznym i światopoglądowym tej poezji. Wyrażający sposób istnienia, domysł istnienia oraz model uczestniczenia w żywiole wszechogromnego bytu.

Być może dostatecznie przekonująco udowodniliśmy, że poezja Andrzeja K. Waśkiewicza nie jest przypadkowym i przygodnym wierszowaniem uprawianym naiwnie na uboczu krytycznoliterackich zajęć. Jest ona przez lata precyzowanym systemem przekonań i poszukiwań, którego wewnętrzna logika doskonaliła się i wzbogacała tworząc nie tylko odrębny świat poetycki, ale także propozycję filozoficzną – interpretacyjną dotyczącą fundamentalnych pytań i dylematów egzystencji. Tak zamknięta i spójna postawa artystyczna, mająca głębsze podłoże refleksyjne i wykraczająca poza incydenty twórcze, postawa budująca własną nadrzeczywistość czy kontrrzeczywistość – to wciąż realizacje rzadkie i zdarzające się poetom wybitnym.

Waśkiewicz nie tylko ów wymóg kreatywności i oryginalności światopoglądowej spełnia. Zauważmy, jak niebanalną drogą kroczył ku swoim ustaleniom. Ta poezja, pełna metafizycznego światła i mroku, pełna autentycznego i w gruncie rzeczy namiętnego przeżycia, nie jest poezją tanich gestów na pokaz, póź, stylistycznej kokieterii czy bufonady. Dla mnie przede wszystkim są to wiersze – użyjmy słów samego Waśkiewicza – rygoru i marzenia. To, co w nich spontaniczne, intuicyjne, oniryczne i w ogóle pozaracjonalne nie rodziło się w niekontrolowanym odruchu emocji. Powstawało w powiązaniu z nieustającym badaniem funkcji i możliwości słowa lub całego wiersza. Rodziło się równoległe do metaliterackich zabiegów i sprawdzania relacji między znakiem a rzeczywistością. Była to metoda nader świadomie podejmowanych prób. Prób na ogół sprowadzających się do redukcji zabiegów czysto retorycznych, ozdobnych czy wynikających z nawyku odruchów językowych i tradycji literackiej. Waśkiewicz na przykład odrzuca tradycyjny opis, retorykę przypowieści czy relacji, ponieważ dostrzega wyczerpane możliwości takiej postawy. W konsekwencji precyzuje zasady i cele formułizmu. W podobny sposób selekcjonuje ogląd rzeczywistości pozaliterackiej, przejmując do poezji te jej elementy i antynomie, które są znaczące dla konstruowanej filozofii. Świat tych wierszy w taki oto sposób nie pomnaża językowych i pojęciowych poboczy. Jest konstruowany powściągliwie, precyzyjnie, za pomocą elips i obrazów „zdyscyplinowanych”. Żadna efekciarska wybujałość, żadna estetyczna impulsywność nie zakłócają tego rygoru. Dlatego nie jest to poezja dla amatorów barokowych i emocjonalnych wzruszeń.

A jednak nie jest to poezja chłodna. Jej wielkie metafizyczne tęsknoty, jej dramaturgia egzystencjalna... Z tego rygoru eksploduje namiętne przeżywanie losu i temperatura poszukiwania ostatecznych wytłumaczeń. Zaś poziom refleksji ontologicznej jest bardziej przenikliwy i usystematyzowany aniżeli w wypadku wielu poetów Orientacji. Dlatego nie izolując Waśkiewicza całkowicie od jego pokoleniowych – życiowych i literackich – uzależnień, bardziej skłonny jestem plasować go w doświadczeniach przedwojennej Awangardy. Ów rygor i marzenie jakże właściwe były dla Peipera i Przybosia, u których zdyscyplinowanie języka i ścisła precyzacja jego funkcji nie wykluczały natchnionej, wizjonerskiej filozofii. Wielce wymowne są przykłady takie, jak Wernera Carla Heisenberga czy Włodzimierza Sedlaka, którzy od fizyki docierali do metafizyki. Transcendentalne ciemności są tym bardziej prawdziwe i tym bardziej istnieją, im bardziej ściśle i logiczne miary mogą wobec ich tajemnicy być zastosowane.

Ponad wszystko Waśkiewicz w swoich miarach wyraża – jak tego chciał – własny sposób istnienia i przeżywania świata. Bardzo autentyczny, bardzo sugestywny wagą podejmowanej problematyki. Dlatego uważam, że w gruncie rzeczy mamy do czynienia ze zjawiskiem

odrębnym, niełatwo podporządkowującym się różnym manierom, konwencjom i wyobrażeniom naszej współczesnej poezji.

Zastanawiać jeszcze musi, jak wobec powyższych ustaleń mógł Waśkiewicz – jako krytyk – zaangażować się z taką nadzieją w późniejsze propozycje Nowej Fali czy „nowych roczników”? Propozycje te najczęściej nie dorastały do poziomu jego własnych penetracji artystycznych. Widzę tu jednak pewne podstawowe uzasadnienie. Otóż poezja lat siedemdziesiątych – lepsza czy gorsza – była na ogół wyrazem poszukiwania własnych znaków identyfikacyjnych i tożsamości ze światem. Była aktem zaangażowanego w nim uczestnictwa. Była w ósmej dekadzie dowodem obecności „nieobecnego pokolenia”. I to obecności niełatwej: poprzez kontestację, a więc także obnażanie antynomii i antagonizmów rzeczywistości. Taka postawa musiała odpowiadać Waśkiewiczowi – zwolennikowi poezji jako aktywnej formy istnienia. A że wadzono się z gazetami, a nie z metafizycznym domysłem, że stworzono bardziej zapis historyczny niż filozoficzny – to już inna sprawa. W końcu i sam Waśkiewicz nie traktuje historii jako banalnego incydentu ludzkości. I każda rzeczywistość jest dla niego dostatecznym powodem i przedmiotem poetyckiej reakcji. Bo reakcja wyraża przedmiot i podmiot.

Różne okresy liryka ta przeżywała, różne miała doktryny i obsesje. Ja w sumie zatrzymuję w pamięci taki jej obraz: wylaniający się z gruzów wojny chłopiec idzie ku nam, jest coraz bliżej, przenika świat rzeczy i kroczy ku jasnemu bezkresowi uniwersum. Ta droga do poczucia metafizyczności jest u Waśkiewicza coraz bardziej czytelna. Pasjonuje go fenomenologiczny byt rzeczy i uniwersalistyczny wymiar Losu. Oraz złudzenie Czasu. W krótkim wierszu napisze: „noc, światło/ umierających gwiazd skapuje/ na mokry beton; jutro/ ma być wichura;/ czy mógłbyś zaręczyć/ że będzie jutro?”

Tego typu wiersze (a przecież inne są bardziej „rozgadane”, traktatowe w swej filozoficzności) uświadamiają nam relatywizm tych kilku wymiarów, w których żyjemy. Uświadamiają, że patrząc w lustro wszechświata widzimy tylko pustkę. Choć lustro pustki nie odbija i po jego drugiej stronie musi coś być. Waśkiewicz należy do tej, chyba ustępującej formacji poetów, którzy za wszelką cenę chcą zdefiniować powód i sens istnienia, a docierając do kłopotliwych odpowiedzi nie hałasują historycznie, lecz dany im czas przeznaczają na żmudne budowanie antropocentrycznej enklawy, takiej filozoficznej niszy, która staje się tak wielkim królestwem człowieka, że może on z jej perspektywy wyszydzać hegemonię kosmosu. Odwracać przepaść!

Waśkiewicz jako poeta i jako krytyk to więc znowu jedna, ta sama i spójna osobowość poszukująca „w innej manierze wciąż tej samej kwestii”. Poezja Waśkiewicza jest wspaniałym i wielkim metafizyczno – ontologicznym traktatem, jest wizją całości istnienia i w tej mierze ma obecnie niewiele równych sobie konkurentek wśród liryki. Radzę naprawdę przyjrzeć się Waśkiewiczowi jako poecie – od kilku lat trawi mnie przekonanie, że przegapiamy coś niesłychanie ważnego.

Leszek Żuliński

